Ner 28. **Kraków 15 lipca 1867.** **Rok II.**

KALINA wychodzi 1go i 15go każdego miesiąca w dwóch arkuszach.

Rubryki stałe: Sprawy wychowania.— Ruch społeczny. -- Szkice obyczajowe. — Powieści. — Sztuki i literatura. — Życiorysy. — Podróże. — Poezje. — Z przyrody. — Korespondencje. Kronika i Sprawozdania bieżące

KALINA

Mody i kroje z gotowemi formami i opisami dołącza się każdego 1go. **Nuty** każdego 15go.

BIURO REDAKCYI i ADMINISTRACYI przy ul. Mikołajskiéj Nr 451 na dole, otwarte codziennie wyjąwszy niedziele i święta od godziny 9téj do 12téj rano.

Do numeru dzisiejszego dołącza się dla Prenumerujących **nuty.**

Błędy wychowania.

(Ciąg dalszy.)

Niewiasta z silnym charakterem w każdém położeniu się znajdzie, z każdym się zgodzić potrafi; nieszczęście jéj nie ugnie, wśród ciosów losu stanie się podporą rodziny, w szczęściu błyskotkami się nie ułudzi, w każdéj okoliczności wypełni święcie powinność, i pewno będzie stałéj łagodną i uległą względem męża, niż sztucznie urobione, powierzchowne i słabe stworzeńko.

Nie wyrywajmy więc rośliny z gruntu, nie żądajmy, by w szklankę wody włożona wydała nam słodkie owoce; nie niszczmy podstawy charakteru: *wrodzonego usposobienia* dziecka, dajmy rozwijać się jego indywidualności. Obudzajmy wcześnie w wychowańcu samoistność, wolę, siłę i dzielność, dajmy mu rosnąć swobodnie na duchu, potęgować się jego zdolnościom, wyrabiać sądowi i przekonaniom. My częstokroć postępujemy wprost przeciwnie. Nie tniemy już drzew na sztuczne szpalery, ale ducha dziecka obcinamy, zginamy go, nie dopuszczamy mu róść wysoko. Zabijamy niektóre jego władze uznając je za niepotrzebne, innych powstrzymujemy rozwój, sądząc, iż do pewnego stopnia jest dostateczny. Nauki, których sami nie znamy, uważamy za szkodliwe lub zbyteczne; kiedy Bóg złożył w duszę człowieka nieskończone władze i potęgi, nieskończoną zdolność rozwoju, my stawiamy granicę, mówimy: „dosyć, daléj nie idź, to się na nic nie przyda, my daléj nie zaszli“. Co za pyszna wiara w swój rozum i nieomylność, żeby nie dać dziecku postępować wyżéj, niż się samemu postąpiło? Może Bóg weń włożył siłę urośnięcia w olbrzyma, a my z niego karła robimy, wciskając go koniecznie w taką formę człowieka, która nam się upatrzyła najwyborniejszą.

Uczeń powinien wyżéj zajść od mistrza; inaczéjby świat nie postępował. Ta matka, ten nauczyciel spełnili godnie swe zadanie, którzy tak rozbudzili i rozwinęli duszę dziecka, że ono dziecię kiedyś, o własnych siłach, jako mąż lub dojrzała niewiasta, wyprzedzi ich o wiele; ale im to zawdzięczając, z tém większą czcią na nich spoglądać będzie. Dzieci wychowujemy dla przyszłego czasu; trzeba zatém w tém ważném dziele wynieść się nad siebie, nad zapory i przesądy swojego czasu. Żaden mistrz nie jest wszystko-wiedzącym, ani nieomylnym; winien to uznać i nie zamykać ucznia w kółku swéj umiejętności, lecz otwierać przed nim szeroko drogę wiedzy, a dopiero jeżli ów uczeń więcéj na niéj zdobędzie niż mistrz wiedział, to mistrz nauczycielską swą pracą zasłużył się ludzkości.

Jeżeli się rozpatrzymy w dziejach ludzkości, w ogromnéj drodze jaką przebyła, w rozwoju niezmiernym ludzkiéj nauki i zdolności, w postępach jakie przynosi dzień każdy, a oraz w niedolach ludzkości i każdego człowieka, możemyż inaczéj zrozumieć przeznaczenie jego na téj ziemi bólów i trudów, jak żeby w ustawicznem tu bojowaniu rozwijał wszystkie swe siły, dobywał najgłębsze potęgi, postępował w nieskończoność, doskonalił się. Człowiek wtenczas czuje się szczęśliwym, kiedy odpowiada temu przeznaczeniu, potęguje swoje siły, kiedy żyje pełném życiem. Miłość wzajemna dwojga ludzi może dla tego jest szczęściem, że jest spotęgowaniem ich władz kochania, pełném życiem serca; podobnie na polu sławy, sztuki, nauki, poświęcenia i cichéj służby dobra drugich, i wielkich czynów, wszędzie człowiek uczuwa szczęścia, gdzie rozwija dzielnie swe siły. Rozwój, postęp ku doskonałości, to zadanie nasze, to prawo Boże. Godziż się więc kłaść dowolne tamy rozwojowi wychowańca: ptakowi, którego życie w locie, obcinać skrzydła? Morderstwo na duchu, to nie mniejsza zbrodnia niż na ciele; a któż z nas nie zna rodzin, gdzie dobrzy i kochający rodzice popełnili przecież takie morderstwo na swych dzieciach: zamknęli je w świat własnych, ciasnych wyobrażeń, w drobiazgowe, bezmyślne życie, a potém odetchnąć i iść wyżéj nie dali.

Przyczyna ograniczenia dziecka w jego postępach i wykształceniu, ma źródło w troskliwości, w obawie, aby się dziecko nie popsuło, nie nabrało szkodliwych wyobrażeń i szkodliwéj wiedzy. Na taką lękliwość odpowie Syn-Boży sam przypowieścią ewangeliczną o słu-

dze, co zakopał talent, bo bał się gniewu Pana, gdy go uszkodzi i straci: tymczasem właśnie niekorzystaniem z talentu, obraził Pana, którego wolą było, aby się nim więcéj dorobił. Pan go nazwał: sługą niepożytecznym i leniwym — i odjął mu talent.

Nauka ta, jak każda ewanieliczna, pełna głębokiéj, wszechstronnéj prawdy, chciejmy ją dobrze zrozumieć, a nie ważymy się zagrzebywać jakiéjkolwiek siły lub zdolności duszy dziecięcia, z któréj nam przyjdzie zdać liczbę Bogu.

Czyż są rodzice, którzyby, wyprawiając syna do szkół publicznych, pod obcy i obojętny kierunek, między różnych towarzyszy, nie drżeli, iż narażają dziecię; a przecież stało się to już prawdą, tak stwierdzoną doświadczeniem, że jéj nikt nie zaprzecza, iż wychowanie publiczne, mimo powiązanych z niém niebezpieczeństw, dla chłopca jest zawsze i nieskończenie korzystniejsze niż domowe. Dla czego? Bo dozwala chłopcu samodzielniéj się rozwijać, wcześniéj poznać się z ludźmi i z życiem, stać o sobie i z siebie dobywać siłę i radę w rozlicznych stosunkach z kolegami i przełożonymi. Przechodźmy dzieje ludzi znakomitych, a obaczemy, jak wielki między nimi zastęp takich, którzy wcześnie sobie oddani, musieli wcześnie i silną samoistność w sobie rozbudzić; nie spotkamy się zaś podobno między nimi z mężami domowego tylko, choćby najstaranniejszego wychowania.

Nawet między zwykłemi kobietami, naszemi znajomemi, uważmy które mają więcéj bystrości umysłu zdrowego, własnego zdania, stałéj woli i charakteru, zamiłowania powinności, a będą to właśnie niewiasty, które przez jakieś zdarzenia, zaszłe w ich rodzinie, były wcześnie samoistnie rozbudzone.

Nieraz powtórzone zdanie, iż nieszczęście jest dobrą szkołą, na pół tylko zawiera prawdę. Wyrabiają korzystnie nieszczęścia wiodące do samodzielności, do potęgowania sił, jeżeli trafiają na indywidua, w których niezniedołężniono charakteru, niezłamano woli. Na podstawie takich to wypadków urosło powyższe zdanie. Są jednak nieszczęścia właśnie najgorzéj działające na rozwój młodych: wszystko co gnębi, poniża, przytłumia, krzywdzi niesprawiedliwie, musi wywoływać złość i gorycz lub chytrość. Nawet surowość wielka, niewolnicza karność, albo takież same sprowadzi następstwa, albo złamie charakter, wyda ludzi słabych, przytłumi rozwój umysłowy. Jak roślinie słońca, tak dziecku potrzeba miłości i swobody. Daj mu obojga jak najwięcéj, a młoda dusza bujnie i pięknie będzie rość i rozkwitać się. Wychowanie sierot w obcych domach, jak to mówią, z łaski, przez brak tych dobroczynnych żywiołów rzadko się udaje. W ogóle u wcześnie osieroconych, choćby wyrośli w dostatku i staranném opiece, zostają zwykle ślady, iż ich dziecieństwa nie otuliło ciepło bezmiernéj miłości rodzicielskiéj. Albo zdarza się, iż miewają coś cierpkiego, twardego w usposobieniu i uczuciu, albo też, zwłaszcza u kobiet, wyradza się zbyteczna tkliwość i drażliwość, ciągłe, chorobliwe niezaspokojenie, pragnienie miłości ludzkiéj, zwrot uczucia na siebie. Okazywanie dziecku miłości, pieszczoty nie tylko nie szkodzą, ale wraz z swobodą rozbudzają duszę, wyrabiają pokój, harmonią w usposobieniu; swoboda zaś rozwija samodzielność, szczérość, odwagę. Nigdy jednak swoboda niech nie przechodzi w swawolę szkodliwą drugim, niech dziecko wie, że mu nie przysługują żadne wyjątkowe prawa, niech widzi, że je kochamy serdecznie, lecz jeszcze więcéj powinność i sprawiedliwość; niech się uczy wcześnie dopełniać swoich obowiązków, nie czynić nikomu co jemu niemile, stać przy słuszności i prawdzie, brzydzić się kłamstwem i krzywdą słabszego. Upodobanie w pracy, czynność, zróbmy mu nawyknieniem. Skoro tylko zdoła, niech sobie samo służy we wszystkiém, niech się uczy pamiętać o swoich rzeczach, dziewczynka sama sobie sporządzać niektóre części ubioru, o drugich wygodach i potrzebach mieć staranie. Zachęcajmy dziecko do próbowania swoich sił, dobywania ich z siebie, nie brońmy mu nieszkodliwéj wolności obcowania z innemi dziećmi, pobudzajmy je do szukania przyjemności w oddawaniu usług drugim, okazujmy mu zaufanie, ośmielajmy do szczérego wypowiadania co pomyśli i uczuje. W nauce nie wlewajmy wiadomości, nie wpychajmy je mechanicznie w pamięć dziecka, raczéj naprowadzajmy go, by sobie własną usilnością zdobywało te wiadomości, ćwiczmy i kształćmy siły umysłowe, uczmy myśléć, zastanawiać się, obudzajmy pragnienie coraz szerszéj wiedzy, zamiłowanie w niéj. Słowem czyńmy wszystko co popiera rozwój, postęp, samoistność, wyrobienie sił. Wzwyczajajmy by każdą rzecz przedsięwziętą dziecko dokonało, z każdego zadania wywiązało się dokładnie i sumiennie. Wyrabiamy stałość, wytrwałość, hart w charakterze. Wszystko to bez pedanteryi, bez ścisłości systematycznéj, swobodnie, nie tyle zaszczepiając to w dziecko jak raczéj pobudzając je, by samo to w sobie rozwijało; zawsze działajmy harmonijnie z indywidualnością dziecka, uwzględniając jego wrodzone skłonności i to, do czego ono jest zdolném. Nie żądajmy więcéj niż usposobienie wystarczy, ni doskonałości, któréj starsi i mocniejsi na duchu i ciele, sami nie umiemy posiąść.

Żadne środki karności, żadne usiłowania, nawet zawsze potężne i zbawienne wpływy religijne, nie działają z taką mocą na wykształcenie młodych jak przykład. Możnaby prawie dozwolić, by się oni sami wychowywali, byle ich tylko otoczyć prawdziwie dobrym przykładem. Dziecko, które okoli tylko zacność i światło, nie może nie wyrosnąć szlachetném, nie pokochać światła. Atmosfera cnót domowych, woń patrjotycznych uczuć otaczająca młodego, uleczyła już nieraz złe skutki zbytecznego pieszczenia, psucia, zastąpiła zaniedbanie

którejś z stron wychowania, wyrobiła niejedną prawą obywatelkę, niejednego pożytecznego syna ojczyzny. Bez kar upadlających, bez walk i gwałcenia wrodzonego usposobienia, bez zachęt i nagród, pobudzających często próżność, chciwość, sobkostwo, my uzyskamy z łatwością posłuszeństwo dzieci, uległość i uszanowanie młodych, jeźli im rozkazywać będziemy wespół słowem i przykładem. Lecz jakże często dzieje się to wręcz przeciwnie; co innego zalecamy, inaczéj postępujemy sami. Żądamy od dziecka niezmordowanéj pilności przy często nużącéj nauce, a sami próżnujemy, przez lenistwo zaniedbujemy niejedną powinność. Uczymy miłości bliźniego, a niema ich w naszych postępkach, łagodności; ustępowania drugim, nieoskarzanie towarzyszów, a my popędliwi i obmowni. Dziecko odbiera karę za kłamstwo, a u nas dostrzega udania i nieprawdy. Możnaby nie skończyć, chcąc wyliczyć wszystkie podobne sprzeczności w postępowaniu wychowujących, które oczywiście dobrze wpływać na wychowańca nie mogą. Najpierwéj więc, gdy nam Bóg dziecię powierza, uzacniajmy się pilnie sami; a wśród szlachetnego i rozumnego otoczenia i nawyknień, wzrastać nam ono będzie koniecznie „w lata i w mądrość, w łaskę u Boga i u ludzi“. (Dok. nast.)

Noc na cmentarzu.

(Z HAJNEGO.)

Wracałem z wizyty od méj ulubionéj —
A była północ, szedłem jak szalony —
I właśnie cmentarz już mijać mam,
Wtem patrzę — groby ruszają się tam.

Coś o lutnisty grobowiec trąca,
Księżyca jasność budzi go drżąca,
I głos słychać z ziemi: „wnet wyjdę tam ja“.
I wstało coś z grobu tak białe, jak mgła.

Lutnista biały z grobowca wstał —
Lirę opartą na piersiach miał,
I z strun brzęczących ponurą muzyką
Rozpoczął pieśń straszną i dziką:

„Ej, piosnkę starą, co w piersiach grała
„Niegdyś mi dziko, czyś zapomniała
„Liro ty śmętna, z ponurém graniem?
„Rozkoszą zwą ją anieli biali,
„Piekielnym bólem czarci nazwali —
„A ludzie miłością, kochaniem“.

Ledwie skonał staréj liry dźwięk,
Wnet z pod ziemi dał się słyszeć jęk,
I kościste mary pośród drzew,
Wstając z grobów zanuciły śpiew:

O miłości! twoja moc
Nas pokładła w cmetarz ten,
I zawarła oczy w sen.
Czemu budzisz w ciemną noc?

Tłum duchów z wrzaskami otoczył śpiewaka —
On w struny udzerzył i brzękła pieśń taka:
Brawo, brawo! tęgie zuchy!
Witam was,
Żeście wraz
Na zaklęcie wstały duchy.
Długie lata człek spi sobie,
Jak mysz cicho w ciasnym grobie.
Więc koścista ty czeladzi,
Dziś się bawić nie zawadzi
Nad grobami. Czyśmy sami?
Zbłaźniliśmy się na ziemi
Zapałami miłosnemi,
Smutni byliśmy na świecie,
Więc choć tu się bawmy przecie.
Niech opowie każdy miły,
Jak się dostał do mogiły,
Jak drażniła,
Jak zabiła
Miłość go — hejże ho!

Więc skoczył do koła, jak piórko ledziutko,
Człeczyna wychudły i począł cieniutko:
Ja krawczykiem sobie byłem,
Z igłą, nożycami —
Zgrabniem krajał, ładnie szyłem
Igłą, nożycami.
Przyszła majstra córka czuła
Z igłą, nożycami,
W samo serce mnie ukłóła
Igłą, nożycami.
Duchy się rozśmiały dziko i wesoło —
A z miną poważną wszedł inny w to koło.

Don Rinaldo Rinaldyni,
Szinderhanno, Orlandyni
Byli razem z zbójcą Morem
Ideałem mym i wzorem.
I tak samo jak te pany
Z przeproszeniem — zakochany
W przecudownéj byłem pannie,
Marząc o niéj nieustannie.
I wzdychając rozkochany,
I miłością obłąkany,
Raz w jakiegoś pana kieszeń
Rękę'm włożył dla pocieszeń.

Lecz policjant był okrutnym,
Za to tylko, żem tém płótnem,
Co ten pan w kieszeni miał
Łzy miłosne otrzeć chciał,
Gbur ten, a z nim miejskie straże
Wzięli mnie, jak zwyczaj każe —
Ręce w tył, na nie powrozy,
I wsadzili mnie do kozy.
Wśród pajęczyn, wśród ciemności
Słodkom marzył o miłości —
Aż Rinalda duch się zjawił
I od życia mnie wybawił.

Duchy się rozśmiały dziko i wesoło —
Zgrabny, wymuskany wstąpił trzeci w koło:

Ja byłem aktorem panowie,
Grywałem kochanków we łzach,
I nieraz ryczałem: Bogowie!
I nieraz wzdychałem: och, ach!

Mortimera'm grał doskonale,
A Maryja — to dziewczę tak śliczne,
Nie chciała zrozumieć mnie wcale,
Choć gesta robiłem rozliczne.

Aż zrozpaczony w téj męce
„O Maryjo ty święta"! krzyknąłem,
I ostry'm wziął sztylet w me ręce
I trochę go głębiéj w pierś pchnąłem

A duchy aż śmiechem parsknęły wesoło —
W białym kaftanie wstąpił czwarty w koło:

Z katedry profesor i plecie i plecie —
On gadał — ja spałem swobodny,
Toż zamiast go słuchać - wolałbym być przecie
Przy jego córeczce urodnéj.

Z okienka mi nieraz wieczorem lub rano
Ten kwiatek się kłaniał przez kwiaty;
Lecz kwiatek jak kwiatek — czas przyszedł, urwano
I mieszczuch ją pojął bogaty.

Więc kląłem bogatych i moją goliznę,
I kląłem przedajne kobiety,
A potem do wina wsypałem truciznę,
I jestem wraz z wami szkielety.

Tu w głos się rozśmiała tych duchów gromada —
Ze stryczkiem na szyi wszedł piąty i gada:

Raz chwalił się hrabia przed biesiadnikami
Z córką prześliczną i djamentami.

Ej, co mi tam, hrabio, bogate skarbnice —
Mnie bardziéj znęcają córki twojéj lice.

Lecz pilnie strzegł w zamku i skarbów i córy,
A straże miał liczne, wysokie miał mury.
Czém straże — gdy idzie o cudną dziewczynę?
Więc śmiało wstąpiłem nocą na drabinę.

Do okna kochanki już skradam się z cicha,
A wtém u spodu u licha
Głos słyszę: powoli, nie spiesz się tak bracie,
Ja jeszcze nie myślę o skarbów utracie.

To hrabia drwił z dołu i wiązać mnie każe —
Z uciechą niezmierną chwyciły mnie straże,
A toć'em nie złodziej, galgany — im gadam,
Ja tylko do mojéj najdroższéj się skradam.

Lecz nie pomogły nic moje słowa,
I szubienica była gotowa,
I zdziwiło się słoneczko, gdy wstało,
Na szubienicy ujrzawszy me ciało.

A duchy się śmiały — ich śmiechy grobowe —
Wszedł szósty do koła — a w rękach miał głowę:

Szedłem polować, by przynieść coś do niéj —
Chodziłem w lesie — a strzelbę'm miał w dłoni —
A wrona z drzewa drze się nieładnie:
„Łeb z karku, łeb z karku ci spaduie".

Gdyby gołąbka choć jednego ubić,
By zanieść pannie, którą mam poślubić —
Myślałem sobie i między krzakami
Szukam ptaszyny bystremi oczami.

Gdzieś szelest słyszę — nadstawiam ucha,
Pewnie gołąbków para tak grucha,
Skradam się z cicha — kurek zwiedziony —
I patrz, ujrzałem twarz méj narzeczonéj.

To mój gołąbek był, ma narzeczona —
I obcy człowiek tulił ją w ramiona —
No, stara strzelbo dziś usłuż mi —
Mierzę i rywal leżał we krwi.

Potem był pochód — a kat na czele —
Ja główny aktor i ludzi wiele —
A wrona z drzewa drze się nieładnie:
„Łeb z karku, łeb z karku ci spadnie".

A duchy się śmiały dziko i wesoło —
Ostatni lutnista sam wstąpił w ich koło:

Jam śpiewał i czułe i piękne piosenki;
Lecz wszystkie przebrzmiały, minęły —
Gdy pękło to serce z boleści i męki,
I pieśni me w grobie usnęły.

On skończył, a duchy się dziko rozśmiały,
I w koło śpiewaka wesoło skakały.
Wtem pierwszą z kościoła wybiły zegary
I blade w mogiły pokładły się mary.

Hermanowe grzechy i kłopoty.

(Dokończenie.)

Panowanie Władysława Hermana widać nigdy nie mogło być wolne od trosk i kłopotów. Rychło jedne uciszył, wnet drugie jak gadziny wychodziły z ukrycia i trapiły go. Zmęczony Herman myślał, że rozdzieliwszy ziemię, odpocznie na swoim zamku obok małżonki, która teraz więcéj mu niby pokazywała przywiązania; gdy nowe zdarzenia na cięższe kłopoty i zmartwienia wyciągnęły go z Krakowa.

Powodem tych nowych niepokojów był Sieciech. Dumny magnat upokorzony i odarty z dostojeństw, przemyśliwał w swoim zamku jak pomścić się nad tymi, którzy byli powodem jego upadku i jak przyjść napowrót do władzy. Widząc, że intrygi królowéj zniszczyły jego wpływ na dworze, że podział kraju przez króla uczyniony, pozbawiał go nazawsze władzy, przemyśliwał nad zgubą królewiczów. — Siedział wtedy na Wrocławiu krewniak jego Wisław, który dobrze o tém pamiętał, że go tam Sieciech posadził, więc był zawsze po jego woli. Do tego pisze Sieciech, aby dał znać na dwór królewski o najeździe Czechów i prosił o spieszną pomoc. Pewnym był Sieciech, że Bolesław skory do wojny wnet ruszy, a że sobie lekceważył Czechów, więc i poczet będzie nieliczny, zwłaszcza, że będzie się spodziewał Bolesław pomocy Wisława. Wysłał także posłów do króla czeskiego, obiecując mu niezmierne korzyści, jeżeli z liczném wojskiem napadnie granice Polski, przyrzekał mu swoją i Wisławową pomoc. — Ułożywszy w ten sposób wszystko mądrze i roztropnie, czekał na skutek swych intryg, pieszcząc swoją dumę świetnemi nadziejami. Codzień chodził na wały, oczekując rychło-li na drodze wiodącéj do zamku pojawi się posłaniec Wisława, donoszący mu o porażce królewiczów. Porażka miała przekonać starego króla, że bez hetmana rady sobie nie da. — Jednego dnia stojąc tak na wałach, dostrzegł tuman kurzu wznoszący się na drodze — po chwili z tumanu wysunęły się postacie kilku ludzi zbrojnych, lecących cwałem do zamku. Sieciech kazał coprędzéj spuścić most dla nich. Jakież było zdziwienie jego, gdy zamiast posłańca, ujrzał samego Wisława zmęczonego pospieszną jazdą, bladego i przestraszonego.

— Co się stało? — spytał hetman niespokojnie.

— Wszystko stracone — odparł Wisław — Czech nas zdradził. Królewicze domyślili się zdrady, ledwie przed ich zemstą ujść zdołałem. Ścigają mnie, niezadługo mieć ich tu będziemy. Czy zamek ten obronny?

— Garstka niewielka żołnierza w nim się znajduje.

— W takim razie zginęliśmy.

Hetman ponuro zamyślił się nad sposobem obrony lub ocalenia. W końcu rzekł:

— Nie ma innéj rady, trzeba się uciec pod skrzydła królewskiéj opieki, dziś jeszcze wyjeżdżamy do Żarnowca.

W Żarnowcu bowiem przebywał pod ten czas Władysław Herman — tam udał się hetman ufny w dawną przychylność króla. I nie omylił się w nadziei. Król o ile nienawidził dumnego, wynoszącego się Sieciecha, o tyle litował się nad poniżonym i nieszczęśliwym. Sieciech był starym jego przyjacielem, towarzyszem wypraw rozmaitych, powiernikiem tajemnic królewskich. Herman miał słabość do niego, przyjął go więc gościnnie i obiecał zasłonić przed gniewem synów. Ale królewicze podstąpiwszy pod Żarnowiec, domagali gwałtem od ojca, by im wydał Sieciecha. Próżne były przekładania króla, uparcie stali przy swojém.

— I cóż poczniemy Sieciechu — mówił król — ci zapaleńcy chcą ci gwałtem dowieść zdrady — przecz dołki kopałeś pod nimi?

— Królu mój, gdybym czuł winę na sobie, nie do ciebie bym uciekał.

— A jednak widzę, że cię tu nie ochronię. Wojska nie mamy wiele. Jedno, co mogę zrobić dla ciebie stary druchu, to to, że ci ucieczkę ułatwię — w Sieciechowie i mury obronniejsze i ludzi więcéj zebrać możesz.

Sieciech zgodził się na to, a król kazał synom przez posły powiedzieć, że Sieciecha już nie ma w Żarnowcu.

Królewicze domyślili się łatwo gdzie szukać zbiega, weszli do Żarnowca i żądali od króla, by wspólnie z nimi szedł ukarać zdrajcę kraju i synów królewskich. Król naglony prośbami nietylko synów ale i rycerstwa całego, poszedł na Sieciecha. Ale kiedy zobaczył się z liczném wojskiem pod murami swego ulubieńca, kiedy widział zaciętość swych synów i nieuchronną zgubę hetmana, żal mu się zrobiło i bądź co bądź postanowił wybawić Sieciecha, zwłaszcza, że królewicze oprócz słownego zapewnienia, nie mogli innych dowodów dostarczyć o zdradzie Sieciecha. Nocą przyszedł z zamku tajny posłaniec od Sieciecha do króla z prośbą o ocalenie. Król więc w nocy przeszedł straże, na rybackiéj łodzi podsunął się pod zamek i dostał się do Sieciecha.

— Wybawco mój — witał go smutny Sieciech na murach.

— Nie wybawca przychodzi do ciebie, ale przyjaciel, który pragnie los twój podzielić.

— Więc nie ma nadziei?

— Trudno o tém myśleć. Spojrzyj na te czarne massy wojska oblane księżycową światłością, a odepchniesz nadzieję od siebie.

— A twoje wojsko królu?

— Moje równie pragnie twojéj zguby.

— Cóż poczniemy? — rzekł Sieciech ponuro.

— Brońmy się dopóki można, a gdy zdobędą zamek, to moja osoba ochroni cię od zguby. Synowie niezbeszczeszczą siwych mych włosów nieposłuszeństwem.

Z tém postanowieniem oczekiwali obaj szturmu. Inaczéj się jednak stało. Synowie uwiadomieni o ucieczce ojca do zamku — widząc słabość króla do starego drucha, zaniechali oblężenia zamku, postanowiwszy pobrać inne zamki pod Sieciechem. Na postanowienie to wpłynął najwięcéj Bolesław, bo Zbigniew na żaden sposób od oblężenia odstąpić nie chciał.

Tu, gdzie go więził Sieciech, chciał mu zgotować upadek i zgubę.

Widok murów, co go trzymały w niewoli, co były świadkiem jego bezsennych nocy, jego nudów, jego poniżenia — ten widok zapalał w nim krew do zemsty. Ale Bolesław zamku dobywać nie chciał, w którym ojciec jego przebywał. Odstąpiono więc i Bolesław inne zdobywał miasta i zamki, podczas gdy Zbigniew poszedł na Płock.

Jakież było zdumienie króla i Sieciecha, kiedy jednéj nocy wojsko nagle zniknęło zpod zamku i tylko wydeptana ziemia i dopalające się ogniska zostały po nich. — Król ucieszył się tém bardzo, ale Sieciech przewidujący zamysły książąt, nierozpogodził chmurnego czoła. Niezadługo nadleciał poseł z wieścią o zdobyciu Rawy.

— Cóż to ma znaczyć? spytał król.

— To znaczy, że im teraz nie o mnie, ani o ciebie idzie królu, ale o zdobycie całego kraju dla siebie.

— To byłoby niegodnie... zawołał król.

— Ale pożytecznie dla nich — jątrzył go hetman.

— Sieciechu, zbieraj wojsko zkąd możesz — z Węgier i Czech ściągnij zaciężne wojsko, by się młodziki nie rozgospodarowali zawczasu, kiedy ojciec żyje.

Sieciech cieszył się tym zapałem króla i dmuchał na niego.

— Królu, pozwólcie, ja ustąpię z kraju, by nie być przyczyną buntu synów przeciwko własnemu ojcu. Jeżli zginę, nie wasza w tém będzie wina, gdyż nie od waszéj woli, ale od woli synów waszych zależy los mój.

— Nie, od mojéj woli, póki ja królem, mnie słuchać muszą, a nie ja ich. Dziś jeszcze wyruszym.

Zbierało się więc wojsko, a że król usłyszał, że Zbigniew na Płock ciągnie, pospieszył tam ubiegnąć go, a Sieciechowi kazał zebrać co rychło wojsko zaciężne i przyjść z pomocą.

Mury Płocka bieleją w srebrném oświetleniu księżyca — nad murami na jasném tle nieba kilka wieżyc kościelnych się czerni — u spodu miasta nad szumiącą rzeką słychać gwar rycerstwa i widać zapalone ognie obozowe. To Zbigniewa rycerstwo, które już parę tygodni napróżno oblega Płock, broniony przez króla. Rycerstwo już znużyło się tém bezowocném siedzeniem pod murami i chce iść do szturmu, ale Zbigniew niedowierzający sobie, tchórzliwy czeka na posiłki brata, które niezadługo przyjść mają. — I w rzeczy saméj w kilka dni nadciągnęły wojska Bolesława i rozłożyły się z drugiéj strony miasta. Dwaj królewicze zeszli się na radę wojenną. Bolesław nierad był dobywaniu miasta, którego bronił jego ojciec. Poczciwe serce synowskie oburzyło się na tę gorszącą wojnę, ale Zbigniew umiał słowami gasić te iskry pięknych uczuć i rozpalać młode serce jego złemi pokusami.

Raz nocą podeszli pod miasto — noc była bardzo ciemna i wilgotna — stali chwilkę nasłuchując — w mieście była grobowa cisza.

— Bezpieczni się czują kiedy tak śpią — rzekł Zbigniew.

— A może głód ich tak uciszył. Wiesz co Zbigniewie, to przecież grzesznie taką wojnę prowadzić z własnym ojcem.

— Ja nie z ojcem prowadzę ale z królem. Ojca kocham, ale przeciw królowi dającemu schronienie zdrajcy, śmiało występować potrzeba.

— Radbym coprędzéj zakończyć tę wojnę, która się kłóci z mojém sumieniem.

— Wojny końca nie będzie, dopóki Sieciech żyć będzie.

— Więc jutro uderzymy do szturmu.

To jutro miało patrzeć na walkę ojca z synami, Polaków z Polakami — na pogwałcenie wszelkich praw Bożych. Król drżał na wspomnienie, że ta chwila nastąpić musi — biadał mówiąc: bodajbym nie był tego dnia dożył. — I Bolesław zwlekał do ostatka tę straszną chwilę, która go mogła zrobić ojcobójcą — niespokojny chodził mocując się sam ze sobą myślami. Jeden tylko Zbigniew czarnym płaszczem jak szatan przesłonięty z niecierpliwością i uciechą czekał téj chwili, w któréj jego współzawodnik Bolesław będzie mu własnym mieczem uprzątał zawady do tronu. Już trąby dały znak do boju, już wojsko poczęło postępować pod mury, gdy doniesiono królewiczom, że arcybiskup Marcin zbliża się do obozu.

Zgorszyły zacnego kapłana wieści o niesnaskach między królem i synami, i zjechał tu w imie Boże za-

łagodzić te spory. Równocześnie przybył z Czech posłaniec od Brzetysława, przywożący list Sieciecha, wyraźny dowód jego zdrady. — Bolesław rad był bardzo przybyciu biskupa, złożył na jego ręce wszystkie zażalenia na ojca, wszystkie żądania swoje i dowody przeciw Sieciechowi i z tém wysłał arcybiskupa do Płocka.

Wjechał arcybiskup na zamek i żądał posłuchania u króla. Sieciech przewidując z jakim zamiarem Marcin przyjechał, nie chciał odstąpić króla i wszedł z nim do sali radnéj, przekonany, że obecnością swoją zmięsza kapłana i odejmie mu śmiałość mówienia. Ale kapłan ufny w słuszność swojéj sprawy, wobec hetmana tak mówić począł:

— Królu i panie mój, nie mnie mięszać się w królewskie sprawy, nie mnie sądzić czynności Wasze, ale tam, gdzie święte prawa pogwałcone — tam milczeć sługa boży nie może. Królu, zaniechaj wojny, która jest zgorszeniem całemu krajowi. Wy stoicie w górze nad ludem jak słońce nad ziemią, a jeżeli w górze takie zgorszenie, takie podeptanie związków rodzinnych, cóż o tych mówić, co u spodu siedzą i z Was przykład biorą? — Wieść o téj nieszczęsnéj wojnie doszła do gnieznieńskich murów i ruszyła mnie z spokojnéj siedziby z upomnieniem do Was.

Król zafrasował się słowami siwego kapłana, bo i jemu ciężyła kamieniem na sercu ta wojna — gdy Sieciech się odezwał:

— Dla czegóż księże biskupie do ojca przyszliście z upomnieniem, do ojca obleganego przez własne dzieci? Tam pod zamek idźcie rzucać pioruny Bożego gniewu na bezbożne dzieci.

— Nie do was przyszedłem hetmanie — rzekł poważnie kapłan — ale wam odpowiadać będę, bo o was rzecz idzie. Cały naród sarkał na wasze rządy, wygnańcy po wszystkich ziemiach sąsiednich zanosili skargi na niesprawiedliwość i dumę waszą — a dziś synowie królewscy domagają się kary waszéj za zdradę ostatnią. Przez was to Sieciechu rzucona kość niezgody w rodzinę królewską, wy szczujecie ojca na synów, nie żeby sprawiedliwość się stała, lecz aby wasza sprawa była na wierzchu. Gdybyście kochali kraj i króla, już dawno powinnibyście iść na wygnanie, by spokój dać téj ziemi.

— Powiedzieliście wiele księże, a z mowy waszéj nic nie ma, na cobym mógł godnie odpowiedzieć. Z domysłami, których pełno na drodze nazbieraliście — walczyć nie będę ani się z nich usprawiedliwać. Wiem, że podobne gadaniny nie odejmą mi łaski króla mojego.

— Nie czczemi przypuszczeniami walczę przeciw tobie Sieciechu. Sługa boży nie może rzucać potępienia na ludzi nieprzekonanych o winę.

— Szkoda ust waszych, pokażcie łepiéj dowody. Cóż macie przeciw mnie?

— List Brzetysława czeskiego do Bolesława, w którym wykrywa twoją zdradę i jako dowód przysyła twój list, wzywający do najazdu.

Sieciech pobladł i spuścił oczy przed wzrokiem króla, który osłupiały patrzał na niego.

— Sieciechu, czy to prawda?

Hetman milczał i pięście ściskał. Król odwrócił się od niego z pogardą i rzekł do arcybiskupa:

— Dzięki wam, iżeście mi pokarali gada tam, gdzie ja przyjaciela szukałem. O zawiodłem się strasznie. Idźcie do moich synów księże biskupie i zanieście im odemnie pokój. Jutro otworzę im bramy.

Nazajutrz synowie z małym pocztem rycerstwa jechali na zamek do ojca i tam klęcząc, przepraszali go, że musieli stawać jak nieprzyjaciele przeciw niemu, zmuszeni przez zdrady Sieciecha. Król ze łzami witał ich i winę im darował. Potém złożono sąd na Sieciecha. Król wyprosił się od zasiadania w sądzie, zbyt bolesny byłby to widok dla niego. Dumny Sieciech stanął przed sądem z powagą i trochę z pogardą. Nie chciał się nawet usprawiedliwiać, a na zarzuty i zapytania sędziów odpowiedział:

— Jeźli wiecie żem winny, poco mnie pytacie — wydajcie wyrok, choćby śmierci.

Zbigniew wstał i głosował za wygnaniem Sieciecha.

— Umiecie wybierać dobrze królewiczu — znacie chleb wygnania i mnie go nim częstujecie. Wiecie, jak ugodzić we mnie. Pomściliście się po szatańsku królewiczu.

— Nie mówcie o zemście tam, gdzie o sprawiedliwość chodzi — rzekł arcybiskup.

Stało się więc, że Sieciech poszedł na Ruś, na wygnanie. Niedługo potém synowie pożegnawszy ojca, rozjechali się do swoich dzielnic, a Władysław został w Płocku. Nie za długo przybyła tam także królowa Judyta. Upadek Sieciecha obudził w niéj usypiające już nadzieje dojścia do celu. Im więcéj marszczek przybywało na czoło Judyty, im bardziéj czuła się starszą, tém niecierpliwiéj wyczekiwała spełnienia swych życzeń, tém gorączkowiéj do dzieła się brała. Zakreśliła sobie plan pewny, którego egzekutorem miał być Zbigniew, znała jego małość i jego chęć wielkości — znała jego nienawiść do Bolesława; nienawiść gadu, który nie może sprostać orłowi, i wiedziała dobrze, że namiętności Zbigniewa staną się służalcami jéj myśli — wiedziała, że Zbigniew chętnie rzuci się na ziemie Bolesława — ale do tego trzeba było, aby Władysław Herman już nie żył. Stary za powoli zbliżał się do grobu wobec chęci królowéj, któréj tak pilno było przed śmiercią widzieć owoc swéj pracy i tyloletnich intryg. I niewiadomo, czy to przypadek przyszedł w pomoc królowéj; ale król w kilka dni po przybyciu królowéj do Płocka mocno zachorował. Przy łożu chorego króło-

wa ciągle była obecną, okazując mu wiele dobroci i miłości. Władysława jednak nie rozweselała ta czułość żony, był milczący i często miewał napady gwałtownéj niecierpliwości i gniewu. Raz nawet kazał królowéj, by wyjechała z Płocka — Judyta mimo tego została, mówiąc z czułością: że grzechem byłoby dla żony opuszczać chorego męża.

— Jak wy słodko gadacie królowo — rzekł król, rzucając się niecierpliwie na łóżku — tak słodko, że się was aż boję.

— Czémże wam narazić się mogłam królu, czy tém, że bezsenne noce trawię przy was?

— Wszak są dworzanie, dlaczego ich odpędzasz od moich komnat i otaczasz mnie siecią twojéj opieki i troskliwości, w któréj mi straszno i duszno okropnie — ja nie chcę, nie chcę.

— Źle płacicie mi królu za moją miłość — rzekła królowa, zasłaniając sobie twarz i płacząc. Króla to uspokoiło — usiadł na łóżku i rzekł:

— Nie miéj mi tego za złe Judyto, żem taki zrzędny, bom chory, bo się śmierci boję, strasznie boję. Dawniéj gdym był młody, wśród szczęku oręża szukałem śmierci; ale dziś gdy mi tak wygodnie na tronie, gdym się pozbył już wszystkich trosk i uspokoił niesnaski, dziś radbym długo, długo żyć. A tu czuję, że siły mnie opuszczają, że gorączka wyżera mi resztkę życia. I nieraz, nieraz myślę Judyto — tu się król podniósł bardziéj, wziął ją za rękę i patrząc jéj mocno w oczy dokończył — zdaje mi się nieraz, że ja otruty.

Judyta wytrzymała spojrzenie królewskie i rzecze:

— Wy w gorączce chyba, jeźli takie myśli szkaradne wam chodzą po głowie. Któż byłby zdolnym do tego?

— Kto? — ten kto otruł Mieszka, kto mi pierwszy tę myśl podsunął. Pamiętasz Judyto śmierć jego, okropnie, okropnie — ja zabiłem syna mojego brata — a raczéj spokojnie patrzałem, jak wy go zabijali. W owéj chwili tyś mi się okropną wydawała królowo — ja was wtedy sądził zdolną do każdéj zbrodni. Potem byłaś inną, wierzyłem w twoją skruchę, bo serce ludzkie najbardziéj zbrodnią skalane, w anielską światłość odziać się może przez pokutę — ale teraz, kiedy za przybyciem twojém do Płocka zaniemogłem nagle — teraz ja się znowu boję ciebie ....

— Królu, niech wam Bóg odpuści te słowa, jak mi już odpuścił pewnie ten grzech, który zrobiłam z miłości dla was, z miłości dla waszego syna, grzech, który nie w mojéj głowie się narodził, ale w głowie Ottona.

— Nie chcę cię potępiać Judyto, bo nie mam nic przeciw tobie, jeno domysł; ale pamiętaj, że Bóg ukarałby cię mocno, gdyby mój domysł był prawdą. Bóg strasznie umie karać Judyto. Moje życie tylu trosk i cierpień pełne, niech ci będzie nauką, że Bóg czasem długie lata karać umie, nie takiém nieszczęściem, co jak grom uderza i zabije; ale nieszczęściem i cierpieniem, co się wlecze za człowiekiem powoli, ciągle, okropnie; ale wyrzutami sumienia, co ci się natrętnie cisną do pamięci, do serca, co cię oblęgną jak robactwo w bezsennych nocach, przed któremi radbyś się skryć pod ziemię. O ja takich chwil miał bardzo wiele!

Ta długa mowa osłabiła króla — zmęczony upadł na węzgłowie i ciężko oddychał. Po chwili otworzył przymknione powieki i cichym głosem wyrzekł ponuro:

— Poślij po księdza Judyto — chcę się spowiadać.

Królowa odeszła od królewskiego łoża dziwnie zamyślona. Czy królewskie podejrzenia były słuszne? nie wiem. Sumienia królewskie grzebią w swych głębiach nieraz dziwne tajemnice, o których nikt nie wie.

Król męczył się bardzo w ostatnich chwilach. Mary przeszłości dręczyły go bardzo — nieraz wyrzucał z bladych ust imiona Mieszka — Bolesława — i swojéj kochanki, matki Zbigniewa.

W kilka dni potem dzwony kościelne ogłosiły ludowi, że Władysław żyć przestał — a było to 5. czerwca 1102 roku.

W komnatach zamkowych czarnym kirem osłoniętych na katafalku leży trup króla Hermana, oświecony blaskiem pryszczących gromnic. Już piąty dzień mija, jak księża śpiewają psalmy żałobne u królewskiéj trumny, bo arcybiskup Marcin czeka na przybycie synów, aby byli obecni pogrzebowi ojca. Ósmego dnia wreszcie stanęli obaj synowie w Płocku. Zbigniew przybył pierwszy i ledwo miał czas pomodlić się trochę u trumny ojcowskiéj, gdy dworzanin królowéj przyszedł po niego.

— Witajcie nam Zbigniewie. Może przerwałam wam modły za duszę ojca, ale potrzeba jest naglącą, dla któréj chciałam was widzieć. Chciałam was się spytać: jakie przygotowania poczyniliście względem tronu?

— Nie wiele myślałem nad tém królowo, śmierć ojca tak niespodziewanie uderzyła o moje uszy.

— Czas krótki do namysłu. Za niedługo Bolesław tu przybędzie, trzeba nam stanowczy krok zrobić. Oto macie klucze od skarbu królewskiego, przybierzcie się w insygnija królewskie — niech dwór cały przyzwyczai się uważać was za króla, zanim Bolesław sięgnie po koronę.

Przed wieczorem nadciągnął i Bolesław — prosto udał się do trumny ojca, i tam całą noc przeklęczał, modląc się i płacząc. Z radością przyjął dwór cały wieść o przybyciu Bolesława, którego za prawego następcę króla uważano — z uwielbieniem szeptano o przymiotach młodego króla, o jego rycerskiéj odwadze, o jego miłości synowskiéj. Przeciwnie o Zbigniewie mówili z pogardą, nazywając go tchórzliwym-niemieckim mnichem. Podejrzliwie patrzano na jego zmowy z Judytą i ogarnęła ich tajemna trwoga, czy Zbigniew nie zawładnie państwem. Dopiero przybycie Bolesława uwolniło ich od téj trwogi.

Na drugi dzień Bolesław wypoczywał jeszcze po tru-

dach podróży i bezsennéj nocy, gdy wszedł dworzanin Zbigniewa, wzywając go do króla.

— Do jakiego króla? spytał z zadziwieniem Bolesław.

— Do króla Zbigniewa ....

Bolesław zerwał się jak lew zraniony — wdział na siebie zbroję i poleciał do sali radnéj. W sali na tronie siedział Zbigniew, we wszystkie znamiona królewskiéj władzy bogato przybrany — obok niego Judyta i kilku przychylnych mu dworzan.

— Cóż to Zbigniewie — wobec trumny ojcowskiéj ty grasz komedje błazeńskie, strojąc się w nie swoje pióra?

— Nie rozumiemy was Bolesławie — rzekł Zbigniew z udaną powagą, ale widocznie drżały mu pobladłe wargi, gdy widział, że tém nagłém wystąpieniem nie zaimponował Bolesławowi. Chcieliśmy z wami pomówić względem ostatniéj woli ojca i względem działu.

— Pierwéj zleź z tronu, co nie do ciebie należy.

— Pierworodni synowie siadają jako następcy na tronach ojców.

— Ale nie bękarty.

Powstało w sali zamięszanie — sprzymierzeńcy Zbigniewa dobyli mieczy na jego obronę; gdy wszedł do sali arcybiskup Marcin w ubraniu kościelném, z pastorałem w ręku stanął między zapaśnikami i rzekł z powagą:

— Cóż to? jeszcze ojcowskie ciało nie wyniesiono z zamku, jeszcze księża modlą się koło trumny króla, a wy już poczęliście kłótnię o dziedzictwo i skarby? Więc wadźcie się między sobą, a trup niech leży niepogrzebany, aż przyjdą ludzie obcy i z litości go pogrzebią!

Bolesławowi na dół upadła ręka z mieczem wobec tych słów arcybiskupa — czém ośmielony Zbigniew rzekł:

— Dziękuję wam księże biskupie, że stajecie w obronie praw obrażonego majestatu, że uspakajacie waśnie, które uwłaczają mojéj osobie i pamięci mojego ojca.

— Nie dmijcie tak Zbigniewie, rzekł arcybiskup — i zejdźcie z tronu, który nie do was należy. Wolą króla i całego narodu Bolesław na nim siądzie, a i wam krzywdy nie będzie. Ale pierwéj godzi się oddać ostatnią posługę zmarłemu. Już księża i lud zgromadzony czekają przed zamkiem.

Wszyscy wyszli za arcybiskupem. Zbigniew po nieudanéj komedyi królowania zstąpił z tronu upokorzony i szepnął Judycie:

— Nie udało się nam królowo. Plany moje rozbiły się o spokojne postanowienie ludu, o śmiałość Bolesława.

— Więc cóż myślisz robić?

— Poprzestać na tém, co dają — by reszty nie stracić.

— Osłabliście na duchu Zbigniewie. Wojna niech rozstrzyga, kto z was ma panować. Teraz ustąp im, bo nie mamy siły: ale i koronowany król może ci ustąpić tronu i ustąpi, gdy wojskiem naciśniesz na niego.

— Ale zkąd wojska?

— A Pomorzany buntujący się, a Czech zdradziecki, a niemieckie rycerstwo .... Zapomniałeś, że ja córka cesarzów, mam wpływ na niemieckim dworze. Moje listy ułatwią ci wstęp i zjednają pomoc cesarza.

Były to ostatnie nadzieje królowéj, które się nigdy spełnić nie miały. Usiłowania i intrygi téj kobiety chylącéj się do grobu, były podobne do jadu, który konający gad wypuszcza z siebie — bezsilna jego trucizna ślini kurz przydrożny, nieszkodząc już nikomu. Ostatnie dni jéj życia były ciężką karą za przeszłość. Sprawiedliwość nie spełniła się na niéj odrazu, gwałtownie; ale się rozłożyła na długie chwile męczarni i upokorzeń. Ona, tak niegdyś błyszcząca, tak lubiąca się otaczać wspaniałością królewską, takich dumnych zamiarów pełna — teraz odsunięta od wpływu, od znaczenia — upokorzona pędziła dnie ciężkie, niczem nie rozjaśnione, samotna, zapoznana, zapomniana prawie. I czemże jest kara potężna, gniotąca jednem uderzeniem zbrodniarza, wobec téj kary, co się rozłamuje na dnie, godziny i minuty powolnych męczarń, co się wlecze koło nóg człowieka i powoli go pęta, co mu brzęczy nad uchem jak komar, zanim żądło zapuści? Takie męczarnie miała Judyta, męczarnie kłójące ją co chwila, co chwila przypominające się jéj boleścią, jak oset wbiły w nogę, dotkliwie dający się uczuć przy każdém stąpnieniu. Każda jéj nadzieja zabita, każda duma upokorzona, każda radość i szczęście rozgniecione — to były większe cierpienia, niż jednorazowa boleść, choćby najsilniejsza. To wszystko podgryzało jéj życie — niepowodzenia Zbigniewa przygniatały ją coraz bardziéj do ziemi, aż wreszcie umarła, nie żałowana od nikogo.

Nie lepszy koniec spotkał Zbigniewa. Ciągle knując zdrady napadając z nieprzyjaciółmi na granice Polski, zginął wreszcie pod razami oburzonego nań rycerstwa, czy téż jak inni mówią: z rozkazu Bolesława tajemnie zgładzonym został.

Anfloma.

Kobiety dramatów Słowackiego.

KSIĄDZ MAREK.

(JUDYTA.)

(Dokończenie.)

Przypominamy jeszcze raz, że tak ksiądz Marek jak i Judyta nie działają z siebie i dla siebie, ale w imieniu tych duchów, których są znakiem widomym. W dziewiczych piersiach Judyty są zamknięte duchy Izraela, spo-

czywają tam najszlachetniejsze uczucia tego ludu zeszpecone jedyną namiętnością — zemstą. Dziwną mięszaninę brudu i pięknych przymiotów przedstawia ten naród-tułacz. Żyd szachrujący po ulicach, rozgorączkowany chciwością pieniędzy, jakże niepodobnym do siebie, gdy stanie w bożnicy nakryty płachtą świąteczną, gdy się modli i jęczy psalmami pod świecznikiem siedmioramiennym, gdy grzebie z litości umarłych lub biednym braciom sypie jałmużnę i żebrakowi mówi: bracie. Dwie natury, dwa życia są w tym narodzie. Zewnętrzną łupinę brudu, zysku, chciwości widzimy w ojcu Judyty — w rabinie, — ona, zachowała w sobie szlachetniejsze rysy swego narodu, jéj odezwanie się zaraz w pierwszéj scenie jest na wskroś przesiąkłe tęsknotą wygnańców i smutkiem narodu potępionego i odtrąconego.

Kiedy ojciec zbiera makaty i złoto na jéj posag i wesele, ona stawia mu przed oczy bezowocność tych zabiegów wobec śmierci, która ją czeka, wobec nędznego pogrzebu, który te bogactwa uczyni bezużytecznemi — naprzeciw zabiegom doczesnym stawia smutną zagadkę śmierci:

Obwiniesz mnie w prześcieradła,
Złożysz trupa na drabinie —
Każesz wynieść nim zadniało —
A jak goim spotka ciało,
To przeżegna się i minie —
A jak dziecko, to będzie płakało,
Nu, a jak kruk — to zakracze,
Nu, a jak pies — to zawyje.

i znowu daléj:

My tu na wieki wyklęci,
Jak ogromne cherubiny,
Co w trumnach zamkniętych siedzą.

Te słowa są jakby ustępem z psalmu. Potem widzimy też Judytę niosącą do księdza Marka djamenty i perły w ofierze dla świętéj sprawy, dla obrony kraju, który jéj ludowi dał przytułek. I ta sama żydówka potem wpuszcza Moskali do miasta. Nie mści się ona tutaj za siebie, ale za wszystkie krzywdy swego narodu, za jego sponiewieranie przez szlachtę, którą nam tutaj w dramacie Kosakowski przedstawia; jest tylko wykonawczynią sprawiedliwości, koniecznem następstwem kary za grzech. Za winę takich Kosakowskich cierpi duch narodu — ksiądz Marek. Pastwienia się Moskali nad nim uśmierzają zemstę żydówki, czuje skruchę i rzucając się do nóg księdza woła: Przeklnij, przeklnij!!!

Zamiast spodziewanego przekleństwa słyszy z ust kapłana słowa przebaczenia:

Upadnij tu na kolana
Córko, niechaj ci odpuszczę —
. . . .
Abyś była prorokinią
Przyszłą między twoim ludem,
Jedną z tych, co w kraju jęczą,
Jedną z tych, co boleść dzielą,
Jedną z tych, co go weselą,
Jedną z tych, co w przyszłość wierzą.

Przebaczenie księdza to triumf Chrześcianizmu nad starym zakonem; zemstę żydówki pokonywa ksiądz potęgą miłości i robi ją przez to apostolką, aby przez nią nawróceni stali się cząstką narodu, z nim współdziałali i współcierpieli, „bo na to (mówi) toczy się ta wojna, aby silne duchy boże miały na ziemi ojczyznę“.

Ten duch Chrześcianizmu objawiający się przez księdza Marka, i na wrogach odnosi zwycięztwo, a że to naród ciemny, nierozumiejący słowa bożego i jego tajemniczéj głębokości, więc przemawia do nich zewnętrznemi objawami — cudami. Wreszcie i ów butny szlachcic Kosakowski zostaje tą samą potęgą skruszony i wygnany przez księdza Marka, wraca potém do Baru; ale już całkiem przemieniony. Nieszczęścia kraju, upadek Baru, męczeństwo ks. Marka, łamią szlachecką buńczuczność, niszczą stare grzechy i nałogi w tym zawadyjaku. I ten szlachcic, który trząsł sejmikami, nie według słuszności sprawy, ale według osobistych widoków, ten szlachcic, co psa, chłopa i żyda na równi stawiał, co pił i hulał, dziś jako szpitalny sługa w smolnéj koszuli grzebie zadżumionych, dumę zabija w sobie pokorą, czuć już w nim budzącego się ducha Bożego. Spełnia się więc to, co powiedział o sobie ks. Marek, że nowi ludzie wejdą do Polski bramą jego ducha. Kosakowski należy już do tego nowego pokolenia, którym jako pokuta za stare grzechy przypadło grzebać umarłych. Toteż grzebiemy ich i same tylko stawiamy mogiły od 100 lat przeszło.

Przy tém odrodzeniu ducha tylko nie widzimy magnatów. Marszałek Krasiński zawczasu wyszedł z Baru, a Branecki jest na służbie moskiewskiéj.

Kosakowski i Judyta ludzie nawróceni przez miłość, usiłują wyrwać księdza z rąk Moskali. Żydówka choć ochrzczona już, nie mogła jeszcze przemienić do cała swéj natury, chce bronić księdza po swojemu, po żydowsku, — zemstą.

Miasto dziś podpalę,
Ogień włożę pod szpitale,
Aż chorzy wyjdą z płomieni,
I o-księdza będą prosić.

A kiedy Kosakowski przerażony jéj strasznym pomysłem woła:

Co ty mówisz? Jezu Chryste
Szpital palić?

Ona za całe usprawiedliwienie swego czynu stawia słowa: Nu, a oni? Więc ich złość i prześladowanie ma być wytłumaczeniem jéj postępowania. Tém słowem pokazuje ona, że jest do końca wierną wykonawczynią duchów Izraela, których zakon nie uczył przebaczać.

Tu następuje scena przerażająca okropnością. Scena ta robi podobne wrażenie jak prosektorium medyczne — gdzie spojrzysz, wszędzie krew, rany nieosłonione niczém, owszem podniesione i uwydatnione z dokładnością, jaką widzimy w Rubensowskich niektórych obrazach. Słuchajmy jak opisuje tę scenę adjutant Kreczelnikowa:

Jenerale!
Ktoś pozapalał szpitale;
Buntują się starowierce
Przy blasku ogni czerwonych,
Mówią, żeś ty zarażonych
Kazał w szpitalu podpalić:
Szpital jak ogniste serce
Bijące w dymu szatanie,
Już pękł i zaczął się walić,
I pokazał na tapczanie
Wskróś przez otworzone deski
Trup zielony i niebieski
W trwodze oddający ducha. —
Potém się ta zawierucha
Skier, ogni, dymów gorących
I ludzi uciekających
W kołdrach, w pokrwawionych chustkach
Zebrała na czarnych pustkach
Pogorzałych Karmelitów.
. . . .
(wśród nich) Jedna panie żydówica
Blada, z rozpuszczonym włosem
Jedna, jak cudotwornica,
Wiedźma, co się w ogniu pali,
Śród tych rąk, lasu korali
Ochydnych, ze łzami w oku
O polskim księdzu proroku
Krakała jak kruk na dachu. —
. . . .
A wtenczas żołdactwa krocie
I różnéj broni motłochy
Napadły na ciemne lochy,
Gdzie polskiego księdza skryto,
I przed białym Karmelitą
We krwi i czarnych kajdanach
Popadały na kolanach
Sine pokazując strupy,
I krzycząc, że zaraza je goni —

Kiedy adjutant to opowiada, odkrywa się skrzydło namiotu i przez ten otwór pokazuje się plac pełen żołnierstwa, chorych szpitalnych. Niektórzy leżą prawie nadzy na tapczanach, trupom podobni. W środku motłochu na rusztowaniu z łóżek szpitalnych stoi ksiądz Marek z krzyżem, w podartym i pokrwawionym habicie. — Jest to więcéj obrazowo jak dramatycznie; ale jak powiedziałem wyżéj, Słowacki z zasady Towianizmu zaniedbywał formę, szło mu tylko o wypowiedzenie prawd, na których miał się oprzeć nowy porządek. Te prawdy wypowiada nam w streszczeniu ksiądz Marek przy końcu dramatu:

Pan niebiosów (mówi on) pragnie,
Aby tu były dwie moce:
Jedna, która ciałem nagnie,
Druga, co duchem podniesie.

Cały dramat był walką tych dwóch sił — zwycięztwo jeszcze nie pewne, bo „prawo ducha" jeszcze nie panuje światu, jak ksiądz powiada:

A to jeszcze wielka skrytość
U ludzi — to ducha prawo,
Niegłoszone na ambonach,
Patrjotyzmem i sławą
Z ludzkich serc czasem dobyte.

Aby to prawo zwyciężyło, potrzeba poświęcenia, potrzeba dać „duszę za duszę", jak to Chrystus uczynił. Ksiądz Marek idzie za tym wzorem, dla zniweczenia mściwego czynu Judyty, ofiaruje się Panu sam umrzeć, byle inni byli uratowani i uwierzyli w potęgę Bożego ducha — zarazę jak sztandar siny zdejmuje z miasta i idzie z nią do Boga, czyli mówiąc prozą: umiera. — Judyta zginęła w płomieniach. — Jedna tylko idea, któréj oni byli przedstawicielami, nie ginie, ale zwycięża: ciało nagina się przed duchem.

Nie można mierzyć tego dramatu miarą zwykłą; jako dramat niewytrzymałby nawet surowéj krytyki, ale zajmuje on nas pod tym względem, że jest wyznaniem religijno-polityczném poety. Owa Polska, mająca się narodzić z ducha, była sternicą gwiazdą, ku któréj kierowały się natchnienia naszych poetów. „Sen Cezary", „Przedświt", „Resurecturis" są dziećmi téj idei. Autor „Ojcze nasz", usiłował nawet ująć tę ideę w system filozoficzny i rozumowo ją udowodnić.

Jako dopełnienie księdza Marka, a bardziéj jeszcze jako dowód, jak te mistyczne zaciekania wprowadziły poetę w świat złudzeń, czarów, proroctw, w których coraz więcéj brak słonecznéj jasności — posłużyć nam może „Srebrny sen Salomei", którym zakończymy niniejszą rozprawkę.

SEN SREBRNY SALOMEI.

(SALOMEA — KSIĘŻNICZKA.)

Jakkolwiek dramat nosi tytuł „Sen Salomei“, to jednak nie tyle ten sen, ile raczéj proroctwa Wernychory są główną osią, około któréj obraca się cała rzecz dramatu.

Stary widun Wernyhora przepowiedział księżniczce Wiszniowieckiéj, kiedy jeszcze dzieckiem była, dziwną przyszłość, na pozór nieprawdopodobną: że ślub jéj odbędzie się w dzień zgubny dla ludu ruskiego, że wiosczaną ulicą przyleci rycerz świecący miecza błyskawicą i z lasu wyjdzie dziad stary ze ślubnym dla niéj podarunkiem. Daléj: że jéj weselnym godom przyświecać będzie **żywa świeca**, która trzymać będzie w ręce jéj pierścień zaręczynowy, że ten pierścień wraz z zwęglałą ręką upadnie na ziemię, a przyniesie go jéj „Franciszkan krwawy, pasem krwi się przewiązawszy — niosąc pierścień jeszcze krwawszy“. Księżniczka kołysana nieraz na sen temi dumami starego dziada, zczasem uwierzyła w nie, uwierzyła, że „świat jest z duchami zgodny“ — i nieraz zachodzi myślami w ten ciemny świat duchów; ale to tylko wtedy, gdy jest sama. Bo wobec ludzi przedstawia się tylko jako ekscentryczna, dowcipna, uporna dziewczyna, coś podobnego do owych nieujarzmionych, dzikich kobiet w komedjach Szekspira. Jest to dusza wiecznie niespokojna, niezadowolniona, mieniąca się w kolorach a nigdy nieodsłaniająca się przed okiem ludzkiém w zupełności — dusza pełna ognistych myśli, których „zdawkową monetą — jest dowcip gryzący“. Regimentarz, u którego bawi księżniczka po śmierci rodziców, tak ją przedstawia Sawie:

Pan-Bóg obdarzył ją zdrowiem
I dowcipem — więc jest harda;
Jako alabastry twarda
Nie proś o nic, bo się słowy
Jak wężyk mały wymyka,
I nie wdawaj się w rozmowy,
Bo zapomnisz z nią języka.
I nie mów z nią o miłości,
Bo doświadczysz z nią trudności,
Bolów głowy, snów gorących,
I takich feber trzęsących,
Że świat przeklniesz.

A jednak ta dzika, nieposkromiona księżniczka robiąca sobie straszną igraszkę z ludzkich serc i sentymentów, była raz potulną jak kotka, uległą jak baranek woli i chęciom jednego człowieka. Było to w czasie jéj pobytu u ciotki, nie daleko miejsc, w których Sawa bronił odwrotu Puławskich. W czasie bitwy Sawa został ranny — wtedy w obawie o los bitwy, kazał się włożyć do żydowskiéj kołyski, kołyskę zawiesić między dwoma rumakami i prowadzić się wśród żołnierzy jak sztandar krwawy i zagrzewał swoich do zwycięztwa. Kiedy go potém z pola bitwy zawieziono w téj kołysce na pół nieżywego do mieszkania ciotki księżniczki, ona potulna, uległa chodziła koło niego, pielęgnując go troskliwie — a w końcu i ślub wzięła z nim sekretnie. Jednak zaraz po ślubie wraca jéj usposobienie kapryśne, przekorne — nie chce znać Sawy, dopóki jéj nie udowodni, że on szlachcic, — dopóki nie spełnią się przepowiednie Wernyhory o krwawym pierścionku i o Franciszkanie.

To wszystko, com dotąd powiedział, tj. przepowiednie i ślub sekretny, stały się poza ramami dramatu, dowiadujemy się o tém z opowiadań. Dramat sam rozpoczyna się w domu regimentarza w epoce buntów chłopskich.

Regimentarz nie wiedząc nic o tajném małżeństwie księżniczki, swata ją koniecznie ze swoim synem Leonem i daje jéj w jego imieniu zaręczynowy pierścionek z krwawnikiem, na którym wyrznięty ś. Franciszek. Ów pierścień to początek sprawdzających się proroctw Wernyhory.

Księżniczka żartami wymijając stanowczą odpowiedź, przyjmuje pierścień z rąk regimentarza na to tylko, aby go dać swojéj służebnéj do wymienienia go na prosty, chłopski gładki pierścionek; jest to niby symboliczne wyznanie, że przeniosła Sawę kozaka nad szlacheckiego syna. Pozbywając się krwawnika z sygnetem, księżniczka ma także na myśli proroctwo Wernyhory i ciekawa, kto jéj ów pierścień odniesie. Pierścień ów rzeczywiście ginie, porwał go z rąk służebnéj kozak Semenko, będący w służbie u regimentarza. Jest to ten sam kozak, który jest głową buntu chłopstwa w tych okolicach pod imieniem Tymenki. — Regimentarz ani się domyśla jaką gadzinę ma pod bokiem. Semenko pół kozaka, pół czarta, syn ubogiego popa z zachceniami hetmańskiéj buławy, jako sługa regimentarna jest panem wszystkich tajemnic i planów szlachty wojującéj przeciw chłopstwu i nieraz używa pieczęci regimentarskiéj do swoich planów. I jeszcze jedno trzyma go na dworze magnata, choć mu tam duszno — trzymają go turkusowe oczy Salusi, córki szlachcica Gruszczyńskiego. Semenko o ile nie cierpi ojca za jego ucisk, pastwienie się nad chłopami, o tyle przepada z miłości za córką.

Oj za tę jednę dziewczynę,
Gdyby słowo miłe rzekła,
Skoczywby jak czart do piekła,
Wyrzałby dwor i pany.

Ale Salusia zakochana w synu regimentarza Leonie, nie uważa chłopskich oczów, co się do niéj miłością

palą. Ona w ogrodzie w księżycowych nocach wyczekuje tęsknie swego lubego, którego już ten stosunek poczyna nudzić. Na jednéj takiéj schadzce Salomea opowiada mu swój sen, od którego dramat cały wziął nazwanie:

Dwa tygodnie temu — śnię ja,
Że matka moja mi każe,
Abym ja u dobrodzieja
Gruszczyniec, twojego taty
Prosiła dla niéj o konie,
Bo ją człek jakiś brodaty
Ściga, straszy, chwyta w dłonie
I — rzekła to najwyraźniéj,
Jakby przestrachem wzdrygnięta —
Jeżeli się Salusia zbłaźni,
A prośby téj nie spamięta,
To będę z dziećmi zarznięta.

Salusia mimo to nikomu nie zwierzyła się z tym snem, bo najprzód wstyd jéj było przyznawać się do wiary w sny i mary, a powtóre i bała się matki.

Myślę, jak tu nas odwiedzi
Matka, a spojrzy mi w oczy,
To mi rumieniec wyskoczy.
. . . .
Ona pewnie nic nie powie,
Ale spojrzy na mnie srogo,
Wzrok jak nóż w sercu obróci,
Zada mi boleści krocie,
Zacznie coś gadać o cnocie,
Z gorsu mi różę wyrzuci,
Każe włosy pleść inaczéj,
Robotę na dzień wyznaczy,
I będzie patrzała z boku
Na łzy kręcące się w oku.
A ja — o Jezu kochany,
Nie będę już do altany
Mogła biegać nocną dobą,
Ani się widywać z tobą.

Snu także nie wyjawiła nikomu dla tego, że się wstydziła swéj ubogiéj rodziny, i nie chciała jéj widzieć na dworze magnackim, wstydziła się ślepéj babki, która chłopskim mówi językiem.

Po dwóch tygodniach sen o matce się powtórzył, tylko inaczéj nieco:

Śniła mi się gdzieś w pustkowiu,
Potém tu — cała w ołowiu,
I w ołowianéj spodnicy,
Niby z perłowéj macicy,
Z jednéj perły była cała,
A twarz zwiędła i schorzała
Także koloru ołówka,
Była już jak trupia główka
Na krzyżu wyrysowana.
Tu szła panie, tu — tą stecką —
A ja w téj róży schowana,
Drząca, jak maleńkie dziecko,
Które się przestraszy dziada,
Co główkę z liści wysadzę,
A ujrzę, że ona blada
Idzie — to chowam się w ciernie,
Oczyma za nią prowadzę
Zziębła i blada niezmiernie,
Cierniami cała pokłuta.

Leon, którego ta cała spowiedź uwiedzionéj dziewczyny nudzi i jest mu srogim wyrzutem, aby się zbyć, tłómaczy jéj znaczenie snu bogactwem:

Srebrny sen bogactwo wróży,
A że się chowałaś w róży,
To dobrze — pisano w górze,
Że w twém życiu będą róże.

SALOMEA.

I ciernie? —

LEON.

I ciernie będą.

Jest to tłomaczenie rzucone od niechcenia, a jednak ono się potém sprawdza. Ale nie uprzedzajmy wypadków.

Leona, jak powiedzieliśmy nudzi Salusia, chciałby się jéj pozbyć w jakibądź sposób, namawia więc sługę swego, owego Semenkę, aby ją sobie wziął za żonę — a że Salusia na toby nie przystała, więc używa podstępu, i przed namówionym księdzem bierze z nią tak zwany „malowany ślub“ w imieniu Semenki.

Kiedy syn regimentarski tak bezcześci córkę Gruszczyńskiego — on tymczasem uganiać się po lasach za zbuntowaném chłopstwem. Wśród téj pogoni trafia na futor Wernyhory. Stary dziad baje mu przepowiednie, z których Gruszczyński się śmieje i lekceważąco pisze o nich w raporcie do regimentarza:

Sam zaś starzec w jamie siedzi
Spokojnie i rzeczy śnione
Pełne szumu i zamętu
Rozpowiada bez talentu
Mięszanym chłopskim językiem.
Plótł mi. . . . .
Że mi żonka moja spruła
Kaftanik dawno zaczęty,

Że co do mnie, będę wzięty
Przez dwie chorągiewki w stepie,
Że prócz głowy będę cały
W grobie. Na te przepowiednie
Spoglądam jako na brednie.

Tymczasem te brednie sprawdzają się z największą dokładnością. Semenko mając sobie powierzone od regimentarza pisanie instrukcyj dla Gruszczyńskiego, wprowadza go w zasadzkę. Potém napada dom jego, wyrzyna całą rodzinę i główki dziatek zatknięte na pikach każe nieść przeciw wojskom, którym dowodzi Gruszczyński. Starzec pobladł na ten widok, idzie między kozactwo, by wyprosić sobie te główki dziecęce dla uczciwego pogrzebu. Kozactwo za warunek daje poddanie się husaryi i podprowadza starego szlachcica ku wojsku, by wydał komendę. Gruszczyński zdradzić nie chce, nawet z miłości dla swych dziatek i z pod siekier hajdamackich woła do swego rycerstwa: „Mości panowie, za ojczyznę ginąć — ja trup“. Regimentarz dowiaduje się o téj strasznéj katastrofie i równocześnie o zniknięciu Salusi, o jéj uwiedzeniu przez Leona i o wzięciu syna w niewolę przez hajdamaków. To go porusza do wystąpienia w pole.

„Tego trzeba, aż szlachcic się ruszy“.

mówi Sawa patrząc na regimentarza dosiadającego konia.

Koniec aktu trzeciego i cały akt czwarty odbywa się w okopach hajdamackiéj czerni, wśród których widzimy pojmanego Gruszczyńskiego, Leona i obłąkaną Salusię, jako żonę Tymenki, którą śmierć tylko ratuje od ucisków roznamiętnionego kozaka. Gruszczyński zabity przez kozaków. Duch jego pokazuje się na wałach polskiego obozu i zagrzewa do zwycięztwa. Regimentarz napada na obóz kozacki, zwycięża i Tymenkę wraz z innymi bierze w niewolę. Straszną jest zemsta regimentarza — każe kozaków ćwiertować, dowódzcę zaś ich obwinąć w słomę, oblać smołą i zapalić od wierzchu. Jest to owa żywa świeca, o któréj proroczył Wernychora. Sawa wracający z wyprawy widząc tę świecę żywą lecącą ku niemu, chce cięciem pałasza przeciąć jéj męki; ale zamiast głowy tylko ręce odcina. Wtedy zjawia się jakiś człowiek w ubiorze Franciszkana - - jest to towarzysz Gruszczyńskiego, który po strasznych wypadkach przywdział suknię zakonną. Ten znalazłszy po drodze zwęglałe ręce Semenki i widząc na jednym palcu sygnet z krwawnikiem, zdejmuje go i odnosi księżniczce. W końcu zjawia się sam Wernychora, rozbija lirę, co grała dumy kozacze i jako podarunek ślubny, ofiaruje księżniczce dokumenta, udowadniające szlachectwo Sawy i wracające mu jego rodowe nazwisko: Caliński. Jeszcze jednéj rzeczy potrzeba: trupiéj drużki. I ta się zjawia, jest nią Salusia. Śmierć jéj była tylko pozorną — siostry Semenki z litości nad nią dały jéj leków usypiających ją na śmierć pozorną. Teraz odnoszą ją żywą, prosząc w zamian o ciało swego brata, by je mogły uczciwie pogrzebać. Leon dla przebłagania cienia Gruszczyńskiego i zmazania swéj winy żeni się z tą z grobu wracającą kochanką.

Oto jest treść dramatu. Umyślnie podałem ją w takich szczegółach, niby nitkę przewodnią dla czytelniczek. W dramacie bowiem ta treść występuje bardzo niejasno i zagmatwanie, zakrywa ją mnóstwo poetycznych ozdób, długich opowiadań i rozrzuconych scen.

Jak widzimy wróżby, duchy, sny, przeczucia grają tutaj główną rolę, cała akcja dramatu zmierza do tego, aby udowodnić, że te nadprzyrodzone siły i zjawiska nie są urojoną marą, że w zgadkowych i niejasnych proroctwach tkwi rzeczywista prawda. Poeta jest tutaj konsekwentny w przekonaniach, którym się oddał cały przy końcu życia. Uwierzywszy w potęgę ducha, musi wierzyć w objawienia się tego ducha przez ludzi i naturę. W szmerach drzew słychać westchnienia umarłych, w woni kwiatów zapach krwi czerwonéj. Był to obłęd jego, ale obłęd wzniosły i poetyczny, który poetę w pojęciach zbliżył do wyobrażeń ludowych. Rozumie się, że tam gdzie szło o walki i potęgi duchów, mało zwracano uwagi na uwydatnienie charakterów ludzkich. Ludzie stają się we wszystkich utworach Słowackiego pisanych pod wpływem towianizmu, maryjonetkami, któremi poruszają niewidzialne duchy. Toż i o charakterach kobiecych nie wiele się da powiedzieć. Przecież mimo to dość wyraźnie rysują się one na tém strasznem tle ognia i krwi, zawieruchy dymów i iskier. Księżniczka rozpieszczone dziecko magnackie, mając fantazję rozkołysaną dumami ukraińskiemi, jest pełna jakichś dziwacznych, nieokreślonych zachceń, dzikich popędów — czuć w jéj żyłach bijącą krew kozaczą, czuć to w téj skłonności do rycerskiego Sawy, w tych żarcikach uszczypliwych, któremi kłuje regimentarza. Jéj dowcipy i sarkazm, to skóra jeża, którą przykrywa i osłania swoją duszę, to broń, którą walczy. Salusia znowu stoi bezbronna, odsłaniająca się cała w miłości i oddająca się temu, którego kocha. Skutek pokazał, która z nich lepszą drogę obrała. Pierwsza maltretuje innych, druga sama cierpi, lubo na cierpienia te zasłużyła, zapominając z miłości dla Leona o miłości dla matki i rodziny.

Zawsze to jednak są charaktery mimochodem schwycone, niedbale narysowane. Kobiety, miłość — te rzeczy, co dawniéj wypełniały cały prawie program życia poety, teraz mało ważyły wobec poważnych rozmyślań, którym się oddawał duch poety, tonący w mistycyzmie. Dla takiego usposobienia dobrze nadawał się Wernyhora. Wernyhora głośny wróżbita ukraiński, jest tu wyrazem obłędu religijnego, i wiary poety w świat du-

chów — on mu się nadawał dobrze do jego niezmysłowego wzroku, a przedstawił go nam nieco inaczéj, niż to uczynił Czajkowski w swojéj powieści. Tam Wernyhora jest duszą i ciałem oddany Polsce mniej-więcéj tak, jak w "śnie srebrnym" Sawa, który przysięga, że kawalerstwo polskie wygna krew kozaczą, że Ukrainki zapłaczą na jego miecz. Wernyhora Słowackiego jest Rusinem na wskróś; niegdyś piał dumy wielkim panom, ale gdy ci uciskali Ruś, staje po stronie zbuntowanego chłopstwa i przeklina Lachów. Marzy o Ukrainie, o hetmaństwie Sawy, a gdy go jedno i drugie zawodzi, kruszy lirę i idzie spać na mogiły. Chciałby odchodząc, rzucić przekleństwo na tych, którzy mu krwią i pożogą zaczerwienili Ukrainę: ale duchy wiedzące przyszłość, zamykają mu usta i odchodząc mówi tylko:

Pany! wasz dom purpurowy (od krwi ludu)
Niech spi — i ja spaty budu.

Ten sen porozbiorowego życia — to ostatnie proroctwo Wernyhory. Kiedy go księżniczka pyta o Polskę, o jéj przyszłe losy — odpowiada:

„Ja stepowy dziad panienko — ja nic nie wiem".

O muzyce i niektórych jéj mistrzach.

(Dokończenie).

Podczas gdy Mayerbeer z mieczem i w zbroi od stóp do głów odbywa swoją fantastyczną krzyżową wyprawę, aby sobie zdobyć względy swojéj pani-muzyki;— Rossini cieszy się tajemnie rozkosznemi przywilejami umiłowanego jéj pazia. To, czemu tamten poświęca spokój swojéj duszy, sen swoich nocy, swoje zdrowie i miłość — temu spada niby róża z obłoków; on przyjmuje ją z uśmiechem, napawa się jéj wonią, ani się martwi jéj więdnieniem; alboż to braknie pocałunków róż? Na godle jego nie ma szponów sępich, ani korony cierniowéj, męcząca powaga nie jarzmi mu duszy, nie utyka on nigdy o pojęcia idealności. Duch, który wieje z „Cyrulika", jest jak piękny dzień w Sorrencie, bez chmurki, napojony wonią, kolorami żywy. Zaraz przy pierwszych taktach téj opery wydaje się, jak gdyby rozkoszne wody wielkiéj fontanny tryskały i szumią rytmicznie w wesołych kaskadach. Piana się burzy i srebrzy, ziemia błyszczy się, zielone wierzchołki drzew kołyszą się w wietrze, a stada drobnego ptastwa ćwierkają swoje najnaturalniejsze, najswobodniejsze chorały. Komedje Schakespeara i opery Rossiniego, to bliźnięta. Tamte chloroformują nas poetycznie, nasze ja znika, ustępuje ciasnota codziennego życia, zaprzyjaźniamy się odrazu z nowemi stosunkami, w których nam osobistość nasza nie przeszkadza. Rossini również w nas sprawia tę przemianę, wygania z nas troski, markotność; przytłumioną swobodę naszego życia, jarzmiony śmiech, więdniejącą pustotę budzą w nas jego melodje i odmładzają. Rossini obejmuje radość życia w ramiona swoje, tańczy z nią szalonego, płomiennego walca — w pauzach usiada, odpoczywa ażeby zaczerpnąć oddechu i pisze wtedy *opera seria* albo *buffa*. Jakim się to sposobem dzieje, nie pojmie nikt, kto ma ten nieszczęśliwy zwyczaj, że każdéj sprawie całego siebie daje, i mierzy, i waży i oblicza, zamiast zapominać się czasem...

Widziałaś Pani kiedy tum w Strasburgu? Myśli moje o Mayerbeerze i Hugenotach zawsze mi się wiążą z wyobrażeniem téj świątyni — ma ona z Mayerbeerem wiele podobieństwa: oboje niedokończeni, oboje stoją w połowie na francuskiéj, w połowie na niemieckiéj ziemi; w obu jest dziwne zlanie ostrołukowego i ciemnogotyckiego usposobienia tych ludów. Oprócz wdzięku francuskiego i powagi niemieckiéj jaka cechuje Mayerbeera, opromienia jeszcze jego utwory złoty blask włoskiego słońca. Taki posag dałby komu innemu z góry pewność zwycięztwa, lecz on uznał za stosowne jeszcze i w inne zasoby się uzbroić. Obrachowanie muzyczne zrobił swoim prywatnym sekretarzem, swoją stręczycielką — niespodziankę, efekt, a dowcip orkiestrowy swoim prokuratorem. Brakło jeszcze jedynie nadwornego błazna, a kogoż mógł lepiéj użyć do tego, jak ów galwanicznie drgający słodkoprzeraźliwy rytm, który z ironicznym śmiechem wypada poza barjery taktu. Z takim więc dworem zasiada on do swoich partytur; nie jak Gluk, który stawiał dwa próżne stoliki dla Ifigenii i Oresta, aby sobie ich postacie uzmysłowić — Mayerbeer zastawia całe rzędy stołków, a na nich wystawia sobie europejską publiczność, przerażający zbiór narodowości i indywidualności, charivari wszelkich możliwych kierunków smaku, systemów nerwowych stopni wykształcenia i ustrojów. Wszystkich uwagę chce ujarzmić, największy mocarz tyle u niego znaczy co i najmniejszy z recenzentów.

W pewnych sferach należy to do dobrego tonu nad Mayerbeerem wzruszać ramionami. Prawda, że Mayerbeer zgrzeszył przeciw swojemu geniuszowi w tém, że uganiając się za efektami, uwłaczał nieraz godności muzyki, jednak przyznać trzeba: że w największéj jego operze, tj. „Hugenotach" — bo „Robert djabeł" jest tylko genialnym zapędem, a „Prorok" już wyczerpaniem — ledwo znać rafinerją i nienaturalność. Porównajmy tylko turniej pieśniarski w Tannhaüserach, z wielkiemi scenami Mayerbeera, gdzie masy ludu ogarnia religijne albo społeczne wzburzenie! widoczna tu przewaga talentu.

Całem nieszczęściem Mayerbeera jest: że nie ma odwagi być czasem i nudnym; studjuje on gorączkowo całą ekonomią drażniących środków, robi chorobliwe usiłowania, żeby wszelki ustrój nerwowy zadowolnić.

utrzymać umysł w febrycznėm rozdrażnieniu i odegnać straszną marę, jedyną, której się boi, tj. nudę. Każdy szał, każdy kwiat, nawet djabeł mają swoje nudne strony; każde słowo nawet ma swój tryb bezokoliczny i nie bez powodu. Toż i w muzyce jest prawdziwém orzeźwieniem, gdy po tylu futurach i plusquamperfectach można wypocząć w trybie bezokolicznym. Lecz u Mayerbeera po scenie miłości, w której skrzypce i obój nastroił do pocałunków i westchnień, następuje zaraz scena tak azjatyckiéj srogości, że w orkiestrze obok bębnów i kotłów najwyraźniéj rusztowanie stawiają, a kajdaniarski brzęk riągnionych na śmierć namiętności, przerażeniem napełnia duszę. Przytém ma pasją do efektów mglisto-obrazowych, żeby słońce było widne przez księżyc, żeby las przeciągał przez balową salę, a ślizgawka żeby przerywała miłosne wyznania; aż oczy bolą. Giacomo Mayerbeer był powołany dać operę światu, a stworzył tylko świat opery.

Zakończę ten krótki szkic o muzyce słowami pani Stael, która mówi:

„Muzyka z pomiędzy wszystkich sztuk najbardziéj działa bezpośrednio na duszę. Ona jedna odzywa się wprost do źródła istnienia i zmienia w zupełności usposobienie nasze wewnętrzne, ona podwaja zdolności nasze, słuchając jéj, gotowi jesteśmy do najszlachetniejszych wysileń. Z jéj pomocą idziemy na śmierć z entuzjazmem; ona jest tak szczęśliwą, że nie jest w możności wyrazić żadnego uczucia nizkiego, żadnego udania, żadnego kłamstwa. Nawet nieszczęście w jéj mowie traci gorzkość i swoją moc niszczącą. Ona podnosi ciężar, który prawie nam na sercu leży.... Żadne słowo nie jest wstanie oddać wrażenia muzyki, gdyż słowa wloką się dopiero poza pierwotnemi wrażeniami, tak jak tłomacze prozą poza krokami poetów“.

KORESPONDENCJE.

Z Litwy. — Stan literatury, — rodzina Syrokomli, — szkoły, — teatr, — nowe zakłady, — ciężkie życie.

Litwa daleka, więc nie macie dokładnych sprawozdań o tém, jak my tu obecnie żyjemy i czy żyjemy. Posełam wam kilka rysów z nad brzegów Wilii i Niemna.

Położenie nasze w niczém się na lepsze dotąd nie zmieniło od czasów Murawiewa, z tym chyba wyjątkiem, że dawniéj więcéj nas tępiono jak obdzierano, a dzisiaj więcéj nas obdzierają jak tępią i to już według normy i systemu, po ukazie.

Pojmiecie, że w takich warunkach nie może być u nas mowy obecnie o żadnym ruchu literackim i księgarskim. Tylko obce książki sprzedawać wolno — z polskich jedynie książki do modlenia i beletrystyczne, i to pojedyńczo, po poprzedniém otrzymaniu zezwolenia od cenzury i policyi wystawionego na osobę. Żadnego znanego a zacnego imienia literackiego u nas obecnie nie ma — osławiona zaś trójka: Odyniec, Malinowski, Kirkor również rozbita.

Sieroty po poecie naszym Syrokomli zostają pod opieką X. Konstantego Radziwiła, niegdyś żołnierza napoleońskiego, a dziś kammerherra starca 70letniego i p. Wujneckiego. Wdowa zaś posądzona, że była kurjerką podczas powstania, skazana na Sybir do ciężkich robót, zostaje dotąd w więzieniu w Wilnie, z powodu choroby umysłowéj, jakiéj uległa pod okropnością wrażeń i złém traktowaniem. Kobieta ta młoda, poetyczna i egzaltowana, chcąc przynieść jakąś ulgę dzieciom zostawionym na łasce, wyrabia w więzieniu kwiaty i bukiety z chleba, które znajomi starają się dostać i sprzedawać. W tém samém szpitalném więzieniu siedzi 5 najzacniejszych obywateli i księży schorowanych i skatowanych. Mimo to, ktoby chciał szukać dziś na Litwie najgorętszych i swobodnych serc, tam właśnie je znajdzie. Bo zresztą na całym kraju założone nietylko kajdany, ale i kłódki — po polsku mówić nie wolno, z religją trzeba się taić. towarzyskie pożycie naraża na kontrybucją i prześladowanie — literatura i język nie ma schronienia. Polskiego kazania nie wolno mówić — chyba z książki czytać.

Szkoły zupełnie moskiewskie, nawet religja katolicka po moskiewsku, liczba polskich dzieci ograniczona; szkół ludowych wcale nie ma. Dawny instytut szlachecki zamieniono na panieński, pod opieką, *gosudaryni imperatricy*. Jedynie pensyjonaty prywatne jakie-takie jeszcze dają wykształcenie. Guwernantki wszystkie prywatne muszą mieć rządowy patent i zostają pod policyjnym nadzorem.

Teatr nasz dawny zupełnie rozproszony. Majewska artystka, która jakiś czas była i w Krakowie, skazana na Sybir po osądzeniu, że była kurjerką w powstaniu — z innemi nie wiem co się stało *). Obecnie jest teatr rosyjski — dają albo same tłomaczenia, albo dzikie grubiańskie farsy, w których pijane żołdactwo bijatyki wyprawia, na pociechę publiczności złożonéj wyłącznie z czynowników i oficerów.

Muzeum archeologiczne wileńskie odesłał Murawiew do Petersburga — natomiast założył rząd nowe i otworzył publiczną bibliotekę. Oba te zakłady mają na celu wpajanie przekonania, że Litwa jest rodzinną moskiewską dziedziną.

Jedném słowem kraj cały jest moralnie zgnębiony, a materjalnie wycieńczony. Jak wszędzie, tak i tu są domy, które nazajutrz po egzekucjach politycznych karnawalują. Ogół jednak nie traci otuchy i godności, wewnątrz żyje wiara — a po wierzchu trwa żałoba — za biletami! tylko wojskowe muzyki piszczą i gwiżdżą po pustych placach publicznych. Nie bójcie się więc o wiarę, o język, o literaturę — bo właśnie prześladowania religijne wywołują odpór u ludu, tém silniejszy im skrytszy — ta węgielna posada naszéj narodowości przechowa się czysta do lepszych czasów.

Lecz wy nie zapominajcie o nas.... F. A.

*) Dering przy teatrze w Stanisławowie.

Wydawca Szczepański Alfred. Redaktor odpow. Michał Bałucki.

Prenumerata miejscowa „Kaliny“ wynosi rocznie 6 złr. — półrocznie 3 złr. — ćwierćrocznie 1 złr. 50 c. w. a.
Z przesełką pocztową: rocznie 7 złr. 20 c. półrocznie 3 złr. 60 c. — ćwierćrocznie 1 złr. 80 c.
Prenumerata zagraniczna: bez **mód** i bez **nut** rocznie 8 złr. 30 c. w. a.
Mody i kroje rocznie 3 złr. 70 c. — półrocznie 1 złr. 90 c. — ćwierćrocznie 1 złr. w. a.
Nuty rocznie 1 25 c. — półrocznie 65 c. — ćwierćrocznie 35 c.
W Krakowie prenumerować można w biurze Redakcyi: ul. Mikołajska, 451, gdzie jest i ekspedycja, albo w księgarni J. Czecha.
We **Lwowie** można prenumerować i odbierać w ajencyi „Czasu“.
W **Poznaniu** w księgarni Leitgebera Hôtel du Nord.
Wszelką zamiejscową prenumeratę z Galicyi **prócz miasta Lwowa**, należy przesyłać wprost do Redakcyi.
Reklamacje nieopieczętowane nie opłaca się.
Inseraty (stosowne) opłacają się od wiersza drobnego za pierwszorazowe umieszczenie po 7 c., następnie po 4 c. — Każdą razą dokłada się 30 c. na stępel rządowy.

Kraków. — W drukarni c. k. Uniwersytetu Jagiellońskiego pod zarządem K. Mańkowskiego. — 1867.